Ner 12. Kraków, 25go Marca. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redakcyi.

Dając ostatni numer za pierwsze ćwierćrocze 1861 r. uprasza Redakcya o spieszne nadsyłanie przedpłaty za ćwierćrocze drugie, także (komu to dogodne będzie) za trzecie i czwarte 1861 r.

Teatr i Wychowanie.

Że teatr ducha narodowego podtrzymuje i ożywia, znużonego pokrzepia, serce ogrzewa i umysł odświeża, sztukę ojczystą podnosi a język rozwija, słowem, że na kształcenie publiczności działa, nie ulega żadnej wątpliwości. Rzecz jasna, że rozumiemy tu teatr jako świątynię Muz, a nie jako budę, w której kozły wywracają skoczki, zręcznością i tresurą popisują się konie, psy lub małpy, jak to niestety i u nas za sławnych onych zagranicznych dyrektorów, co to barbarzyński Wschód cywilizować do nas przychodzili, nie rzadko widzieć się dawało; rozumiemy teatr, jako teatr w ścisłem znaczeniu słowa, jako zakład artystyczny i narodowy, a nie jako krowę dojną w rękach za groszem goniących spekulantów, raczej *Derektorów* niżli prawdziwych estetycznych zawiadowców, czyli *Dyrektorów*. Jeśliby kto na poparcie zdania na wstępie założonego koniecznie dowodów wymagał, to wystarczy przypomnienie, czem był teatr u starożytnych Greków; dość wskazać na zasługę jaką Bogusławski i J. N. Kamieński około wykształcenia ziomków, a zatem około sprawy narodowej położyli. W czasach gdzie wszystko zarazem było w śnie letargicznym, gdzie wszystkie niemal objawy ducha i życia narodowego prawie zupełnie były zamarły, któż je wskrzesił, kto wzbudził do nowego życia? Nie możni o świetnych tradycyach i uwieńczonych od dawien dawna herbach, nie bogacze opływający w zbytkach, nie starzy nawet, którzy u nas np. reprezentacyą narodu udawać mogli; nie — ale biedni ludzie, koczujący z miejsca na miejsce, komedyanci tak nazwani, którymi się świat jakby zapowietrzonymi brzydził, których w sąsiednich mądrych Niemczech na święconej ziemi grzebać nie chciano — ludzie o pustych kieszeniach, ale pełnych uczucia sercach, o wytartych sukniach, ale o promiennych myślą i zasługą czołach — tacy to zelektryzowali drzemiącego w letargu ducha narodowego i z małej iskierki, którą w początku wydobyli, rozdmuchali jasny płomień miłości do języka, sztuki, stroju, tradycyi i przeszłości, słowem, do wszystkiego co było swojskiem, narodowem, polskiem. Cześć im za to i wdzięczność nasza po wszystkie czasy!

Ale nie o to nam obecnie chodzi. Opuszczamy rozlegle pole wpływu, jaki teatr na życie narodu wywiera, a ścieśniając nasz zakres ograniczamy się na rzuceniu kilku luźnych myśli, tyczących się teatru jako czynnika w wychowaniu młodzieży. W teatrach naszych: krakowskim i lwowskim; widywaliśmy i widujemy po dziś dzień dzieci i podlotki obojej płci; a ktoby nie patrzył i nie widział, to pomimowoli słyszeć musi te ostre, przenikliwe, piskliwe i w uszach świdrujące głosiki owej młodociannej publiczności, owych rezolutnych znawców i krytyków, co tak impetycznie wywołują artystów, aby im uznaniem swojem na skronie włożyć ostatni i najważniejszy wieniec zasługi; i ztąd to wzięliśmy pochop do niniejszych uwag.

Pytamy się więc, czy przyczynia się teatr do kształcenia i wychowywania młodzieży? Odpowiadamy na to: dobry teatr wpływa korzystnie na młodzież starszą. Albowiem, jeśli uczeń w klasach wyższych czytać może i musi arcydzieła Sofoklesowe, Szyllerowe i tym podobne, dla czegożby nie mógł być na przedstawieniu celniejszych dzieł scenicznych? rozumie się tych, które mu nauczyciel poleci. Opieka szkolna czuwać więc nad tem powinna, aby młodzież na darmo w teatrze czasu nie traciła, albo co gorsza nie ponosiła moralnej szkody. Bez całego szeregu owych sztuk o kilku aktach a kilkunastu odsłonach lub obrazach — bez onych wież piekielnych, katów amsterdamskich, urwiszów londyńskich, podrzutków, i im podobnych, w które obfituje scena nasza, młodzież zupełnie obejść się może. Bardziej jeszcze, niż uczniowie klas wyższych gimnazyów, uczęszczać powinni do teatru uczniowie szkół realnych wyższych, a to już dla tego, że niekształceni na wzorach klasycznych, owych prawdziwych kanonach sztuki, w szkole tyle sposobności do obznajomienia się z arcydziełami nie mają, a przy ciągłem i przeważnem zatrudnieniu tak zwanemi realiami tem bardziej czegoś potrzebują, aby podtrzymywało i rozwijało w nich pierwiastek prawdziwie ludzki, a równoważyło kierunkowi w ich kształceniu przeważającemu. Rozumie się, że i tu wybór sztuk powinien być bardzo ścisły — powiedziałbym nawet, że ściślejszy, aniżeli w razie poprzednim, bo uczeń gimnazyalny właśnie z onych w szkole czytanych i rozbieranych arcydzieł ma pewien rodzaj, że tak powiem, regulatora estetycznego, na którym realiście zupełnie zbywa.

Pytamy się powtóre: Czy panienki starsze, czyli te które już kończyć mają pensye, albo chociażby już na kurs pedagogiczny chodziły, lub wreszcie i te, które już *edukacyą skończyły*, mogą bezwzględnie bywać w teatrze? Odpowiadamy: nie. Nawet te kobiety, które już były aspirantkami do stanu małżeńskiego, nawet i te jeszcze wykluczamy. Płeć piękna wybaczy mi, że jestem tak srogim względem niej tyranem; być może, że ośmielam się dla tego być odważnym w oświadczeniu stanowczego zdania, że już mam Bogu dzięki swoją własną płeć piękną, bo gdybym był kawalerem, kto wie czybym się na to odważył. Ale muszę być surowym, bo mi tak każe sumienie, a właśnie dla tego, że naszą płeć piękną bardzo kocham, i radbym, żeby pod każdym względem była najpiękniejszą. Otóż panny nie powinny bezwzględnie uczęszczać do teatru, czego niestety u nas nie zawsze przestrzegają. Korciło mnie też nieraz, kiedym widział cały wieniec dziewic zdobiących półkole lóż teatru, a tu tymczasem co chwila trzeba się rumienić, chustką zakrywać, lub w głąb loży usuwać. Nie tyle mam za złe matkom wiejskim, które, kiedy niekiedy do miasta zajrzawszy, chciałyby córeczkom zrobić przyjemność, a i sobie nie mniejszą, pokazując córki swe światu. Ale nie tak łatwo wybaczę matkom miejskim, przewodniczkom i nauczycielkom młodych osób i t. p. Tu czy to matka, czy madam, czy guwernantka, powinny naprzód dobrze wiedzieć jaka będzie sztuka, aby nie wystawić nieskażonej czystej duszy dziewiczej na te powiewy moralnego *sirocco*, który za każdem musnięciem zwarza kwiat najżywotniejszych i najpiękniejszych uczuć. Powinny pamiętać, że dusza i serce dziewicy winny być czyste, nieskalane, nawet nieobsiadłe pyłem brudzącym zewnętrznych wrażeń, bo kobieta z natury swojej stworzona do jedni, harmonii wewnętrznej; jej walk i burz wewnętrznych, rozdwojenia, sprzecznych żywiołów, które wrą w duszy męzkiej, niepotrzeba, i dla tego o ile możności powinniśmy ją od tego chronić, szczególniej dokąd zostaje pod naszą opieką. Półśrodki nie pomogą i n. p. jeśli w chwilach, kiedy na scenie na coś podejrzanego się zanosi, madam lub mama z panienką o czemś zupełnie innem rozpoczyna ognisty dyskurs, aby tylko odwagę odwrócić. Byłem świadkiem takiej sceny a nawet wezwano mnie na pomoc. Użycie takich i podobnych środków zdradza brak znajomości najgłówniejszych praw psychologicznych, według których dusza ludzka żadnej przerwy w łańcuchu wyobrażeń nie cierpi, a zatem sama w dwójnasób zaczyna być czynną, aby się domyślać tego, co tam wtenczas być mogło, kiedy ją czem innem zaprzątnięto. Przypomina to środek używany przy czytaniu książek, gdzie mama zaklęciem „jak mnie kochasz" wzbrania *w miejscu najciekawszem* czytać kilka kartek, albo co gorsza miejsce niebezpieczne opieczętuje. Byłem świadkiem jak zkąd inąd bardzo dobrze pozwalały tym sposobem dwunasto i trzynastoletnim córeczkom czytać: Tajemnice Paryża i Wiecznego Żyda, a działo się to w r. 1845 po narodzeniu pańskiem! Półśrodki więc do niczego; panna powinna siedzieć w domu, jeśli sztuka nie odpowiednia; a książki i zaczynać nie powinna, gdzie choć jedna kartka musiałaby być pominiętą. Zwracam uwagę przy tej sposobności na Agaj-Hana. A zresztą słówka, zwroty, dowcipy, sytuacye rażące następują czasem zupełnie niespodzianie, a do tego galeryjna publiczność hucznemi oklaski je uwydatni. Lepiej więc niech panny siedzą w domu, nie wieść ich na zgorszenie, bo za to pismo św. bardzo grozi. A jeszcze bardziej gorszyłem się widząc na przedstawieniach pana Levassora i kompanii co wieczór mnóstwo panien i panienek, na onych scenach z życia paryskich subretek i t. d. wziętych, oddanych do tego z całą wydatnością ogródkowych karesów. Czy matki lub madamy siedząc obok córek i elewek paliły się ze wstydu? *Ekskuzowały się* zapewne w swem sumieniu, że to tylko dla dogodzenia temu tyranowi: *comme il faut*, i żeby panienki *zprofitowały* z prawdziwie francuskiej *pronuncyacyi*. Mniejsza, że na onym niebiańskim puszku pokrywającym czyste serce dziewicze znać skazy jak na pięknych tęczowych skrzydełkach motyla.

I.

WSPOMNIENIE.

Jeśli nadzieja serca porusza,
I smutku rozwiewa cienie,
Również wzruszoną się czuje dusza,
Gdy ją ożywi wspomnienie.

Bo jak z gałązki kwiatek zerwany
Woń swoją jeszcze dochowa,
Bo jak się myślą czuje ból rany,
Kiedy ta rana już zdrowa:

Również wspomnienia wszechwładne tchnienie
Przeszłości odtwarza dzieje;
Dla tego wolę tęskne wspomnienie,
Niźli ułudną nadzieję.

II.

Z Lamartina.

Szczęśliwy, kto się wznosząc, nad rozkosze ziemi
Zbudował sobie kącik, pośród duszy cieni,
Wśród serca swego!

Szczęśliwy, kto innego nie żąda użycia,
Tylko myśli szlachetnej i kwiatu rozwicia
I dnia pięknego.

Marya P..a.

Przegląd dzieła,

zawierającego w sobie

życie Autora Śpiewów Historycznych.

(Dokończenie).

Ta druga epoka czworoletniego sejmu, prawie jedynie zajęta ową walką szermierską między chcącymi z czasu korzystać, a chcącymi go truć i tracić, przeciągnęła się aż do wiosny 1790. Były to blisko dwa srogie lata najszczęśliwszej pory, które spełzły na niczem.

Strona patryotyczna, czując potrzebę wzmocnienia siebie, przeciw własnym wichrzycielom i zdradliwym braciom, starała się przyswajać do swoich zamiarów osoby poważne, nieskażonej reputacyi, do dworu należące. Jej naczelnicy usiłowali nareszcie pozyskać ufność Stanisława Augusta.

Niemcewicz był jednym z posłów, który najwcześniej uczuł i dostrzegł, że połączenie się z królem było najkonieczniejszym środkiem dostąpienia celów pożądanych dla kraju; starał się więc przy rozdwojeniu zdań łagodzić ich cierpkość.

Na sesyi 5go lutego 1790 roku, Niemcewicz pospiesza winszować królowi, iż został niepodległym naczelnikiem niepodległego narodu.

Połączenie większości sejmu z królem stanowi trzecią epokę czworoletnich obrad. Odtąd wszystko zaczęło się snadniej i porządniej szykować. Ale i ten szczęśliwy skutek nie zaraz urzeczywistnił się: z najlepszą wolą nie umiano jeszcze pospieszać. Jeszcze Niemcewicz, na sesyi dnia 12go lutego 1790, skarżył się na nieporządek w wojsku, na brak magazynów; przedstawiał potrzebę zaopatrzenia skarbu w potrzebne fundusze, wołał, nalegał o pośpiech.

Dopiero w kwietniu 1791, los miast został przez sejm rozstrzygniony, równie mądrze jak szlachetnie. Mowa Niemcewicza, dnia 2go kwietnia miana, liczy się do celujących pięknością, zacnem czuciem, jasnym i czystym rozsądkiem.

Nic w umyśle Niemcewicza nie było gruntowniej osadzonem, jak przekonanie o szkodliwości elekcyi, w której widział główną przyczynę wszystkich klęsk i upadku Polski.

Dnia 8go sierpnia Niemcewicz czynił wniosek proklamacyi do narodu, zapytując się, czy chce elekcyi, czy następstwa? i za zgodą stanów podjął się jej napisania. Dnia 16go września mówił obszerniej w tej materyi.

Przyszedł nakoniec dzień 3go maja. Nie jest moją rzeczą szczególnie opisywać go, ponieważ Niemcewicz nie miał sposobności w nim odezwać się. Matuszewicz, Kiciński, St. Potocki, Michał Zabiełło, byli ci, co najwymowniej i najdobitniej mówili, nagląc na potrzebę ustalenia natychmiast rządu czynnego i dzielnego. Te wnioski były przyjmowane okrzykami jednomyślnemi tak przez członków sejmu, jak przez tłumy publiczności, tłoczącej się w sali posiedzeń i za salą, aż na dziedzińcu zamkowym i na ulicach, gdzie wszędzie czekano niecierpliwie końca obrad tego dnia. Król z wielką determinacyą przeciął wszelkie wahania, i przywoławszy w koło tronu wszystkich senatorów i posłów, zaczął z nimi odmawiać aryngę przysięgi na konstytucyę, którą czytał ksiądz biskup łucki Dłuski, i potem razem z sejmującymi i z otaczającym ich tłumem udał się do fary dla odśpiewania *Te Deum*, nie zważając na kilku złośliwych udanych szaleńców, którzy za nimi wrzeszczeli i na ziemi tarzali się.

Po tym dniu, który wiekopomnym w dziejach narodu pozostanie, choć nie wydał spodziewanych następstw, większość sejmu rozumiała, że już najtrudniejsza część przedsięwziętego dzieła jest dokonaną; że złożywszy losy ojczyzny w ręce króla i dobranego orszaku cnotliwych mężów, dawszy im i monarsze wszelką moc potrzebną do działania, uzbroiwszy jego i straż przy nim, t. j. ministeryum dodane i przez niego wybrane w sądownictwie; oręż do skarcenia nieposłusznych prawu i konstytucyi, losy ojczyzny były przez to dostatecznie zabezpieczone. Zewnętrzne niebezpieczeństwa zdawały im się pokonane samą odmianą formy rządu, która je była zrodziła.

Gdy się dowiedziano, że pan hetman Rzewuski i Szczęsny Potocki znajdują się w Jassach, w obozie moskiewskim, i wzbraniają się złożyć przysięgi na wierność konstytucyi, sejm się mocno tą wiadomością wzburzył. Pan Zboiński, poseł dobrzyński, podał wniosek, aby wszystkich nie uznających władzy sejmu pozwać przed sąd sejmowy *).

Niemcewicz poparł gorąco wniosek posła dobrzyńskiego, który został przyjęty; ale którego wykonanie powstrzymano.

Dnia 27go stycznia Niemcewicz uczynił wniosek, aby znakomici przestępcy praw Rzeczypospolitej przykładnie i surowo ukarani zostali.

Żadne z przywar i zaślepień, co Polskę do zguby przywiodły, nie stały się celem większej odrazy, utyskiwań i nagany Niemcewicza, jak te, które były skutkiem i przyczyną szaleństw i przestępstw naszych możnowładców. Słuszna ku nim indygnacya, żywy obraz i potępienie ich win, są przedmiotem głosu wybornego, którym Niemcewicz godnie zakończył chwalebny swój zawód w obradach wielkiego sejmu. Czytając jego mowę, każdy Polak dzielić będzie uczucia ogniste i przekonanie obywatelskie mowcy.

Wypadki, co Polskę do upadku zaprowadziły, miały wiele przyczyn. Ludzie lubią na jednę przyczynę, a póki mogą, na jednego człowieka doznane nieszczęścia zwalać: bo to uwalnia od sumiennego dochodzenia prawdy, a dogadza lenistwu i często stronniczej zawziętości; ale tak nigdy rzeczy się nie dzieją, i podobny ogółowy sąd zawsze jest niesprawiedliwy.

O kilka kart niżej mówi autor: Jednę jeszcze pozwolę sobie nadmienić przyczynę nieszczęść Polski, może jednę z najważniejszych, bo ciążącą na całej generacyi ówczesnej, a tem jest niedostatek wiary prawdziwej. W ciągu długiej naszej anarchii, niemało moralność podkopującej, religia ucierpiała także, zmalała w końcu, i zdawała się ograniczać na codziennych zwyczajowych praktykach, bez wyższego ich tłumaczenia i bez czynnego wzniesienia serc. Pobożność okazywała więcej drobnostek, mogących być o zabobonność posądzanych, niż szczerego ducha. Było w narodzie uszanowanie dla obrządków, nie było gorącej i prawdziwej wiary, która tworzy wielkie czyny i do nich prowadzi.

Na Polskę, znajdującą się w takiem usposobieniu, wionął zatruty wiatr francuskiego filozofizmu. Zwyczajowe i drobne praktyki, obrane z głębszego dogmatów poznania, nie mogły mu się oprzeć; zmięszane owszem z zabobonami, podały mu broń na siebie i przyczyniły się do zmniejszenia zbawiennego i hartującego wpływu religii. Zewnętrzna dla niej cześć utrzymała się, szczególnie w niższych warstwach społeczności; lecz w sercach prawdziwa wiara coraz bardziej znikała, i dla wielu, w klasach wyższych, ograniczała się prawie na uznaniu jej politycznej potrzeby i użyteczności. Wiara jednak w Boga prowadzi do słusznej ufności w sobie: te dwa usposobienia idą zazwyczaj pospołem: bo kiedy człowiek niema zaufania w Opatrzności, wtedy musi je zasadzać na poziomych względach, na obcej pomocy, nie zaś na własnej zasłudze, usiłowaniu i cnocie. Wiara, to jest nieograniczona ufność w Boga, tworzy w człowieku tę wielką wewnętrzną siłę obowiązku, bez której samodzielności nie ma. Ludy w trudnych nader kolejach tam najczęściej przeciwności przemogły i cudów dokonały, gdzie wiara i patryotyzm łącznie umysły zapalały.

Wojna Polski w obronie 3go maja i swej niepodległości, pokazała się oziębłą w porównaniu do żywotnej kraju potrzeby; nie była powstaniem narodu, nie miała cechy wojny świętej, narodowej, powszechnej, nietylko z uniesieniem zaczętej, ale z uporną stałością posuwanej,

---

*) Hetman Branicki, mianowany członkiem straży i ministrem wojny, pojechał do Jass, za pozwoleniem króla, do żony, siostrzenicy Potemkina.

i gotowej utrzymać się nie przez miesiące, ale przez długie lata. Z takiem tylko mocnem postanowieniem Polska się jeszcze ocalić mogła. Że go wówczas niedosyć miała, i że nawet niektórym wojskowym na niem zbywało, to nam odkrywa w pamiętnikach Niemcewicza opis kwatery głównej księcia Poniatowskiego, dokąd, niespokojny o los wojny, udał się był z listem Stanisława Augusta do synowca, naczelnie dowodzącego wojskiem. Rozmowy i zdania, które tam Niemcewicz słyszał, przejęły go i teraz nas przejmują smutkiem, indygnacyą i wstydem, że Polacy mogli takie niegodne czucia wyrażać. Ale w każdej epoce bywali i są u nas, jak gdzie indziej, ludzie nizkiej, nędznej, samolubnej i trwożliwej duszy, których dążeniem było i jest odchęcać od sprawy krajowej i zniweczać, ile mogą, usiłowania dla niej podejmowane, od których najstaranniej sami się chronią.

Niemcewicz musiał, po przystąpieniu króla do Targowicy, uchodzić za granicę z drugimi konstytucyi 3go maja sprawcami i obrońcami.

Jeszcze nie był doszedł do połowy lat życia swego, ledwo ich liczył 30 i kilka, a już skończyły się dla niego dni wesołe, spokojne, szczęśliwe. Odtąd nie będzie znał w życiu, jak żale, smutki, niepokoje, okropne więzienie, wygnanie, ubóstwo, oddalenie od rodziny i przyjaciół; omylone nadzieje, same powody do rozpaczy będą jego udziałem. Lecz i w tej części tak mozolnej i gorzkiej życia swego, Niemcewicz poświęcał się bez odpoczynku dla ojczyzny, pracował więcej we właściwym sobie zawodzie, dokonał dzieł, które miały ważny i zbawienny wpływ na Polskę, i dostąpił godności i znaczenia w narodzie, które jego imie tak zaszczytnie w opinii u swoich i nawet u obcych postawiły.

Doszliśmy do 79 str. czyli do VIgo rozdziału dzieła, które ma str. VII i 454. Przerywamy przegląd, powzięty dotąd czyniony sposobem, bo z tego, cośmy dotąd zamieścili, czytający mogą już mieć wyobrażenie o piśmie księcia Adama Czartoryskiego; bo sądzimy, że się bardziej zdołamy przysłużyć Szanownej Publiczności, gdy to, co o Niemcewiczu napisał ks. Czartoryski i co nam sam autor Śpiewów Historycznych w swoich pamiętnikach o sobie zostawił, pod kilka podciągnąwszy względów, damy w krótkim zarysie całkowity obrazek męża ztąd na świecie rzadkiego, że był jakoby wcieleniem patryotycznych uczuć i dążeń.

—1.—

Szkice Karnawałowe;

przez

Mateusza Wszędobyłę.

(Dokończenie).

Skończywszy swój list Wiktor, dumał długo. Ten list był takim słabym wyrazem jego uczuć! był romantyczno-sentymentalnym epilogiem pięknego a cichego dramatu miłości, który się w dwóch sercach odegrał! Posełać go, kończyć nim zdało mu się profanacyą, frazesem, paszkwilem — a przynajmniej słabością. Nie! nie! niesplamię dziewiczej jej dłoni dotknięciem namiętnego męzkiego biletu, wszakże nam niepotrzeba słów! znamy się dostatecznie, aby każdej chwili wiedzieć, co drugie czuje i myśli.

I podarł w kawałki papier, na którym skreślił ostatnie pożegnanie swoje. Rzucił się z energią do papierów swoich, aby je uporządkować: postanowił bowiem osiąść na maleńkiej wiosce po ojcu, gospodarować i kształcić się. W tej chwili otwarły się drzwi i pojawił się stary sługa księstwa, a faworyt Antoniny. Wręczył on pismo Wiktorowi.

Wiktor schwycił go pełen ciekawości i płomienne jego oczy poznały rękę Antoniny. W piśmie tem stało:

Drogi mój! Wczorajsza twoja rozmowa z matką moją powiedziała mi, żeś upadł na chwilę pod cierpieniem, upadłeś w przepaście, które się nazywają gniewem i rozpaczą. Wiktorze! którego samo imie jest zwycięzkiem, wstań i zwycięż. Niepowiększaj mi cierpień moich!

Wiem, że wstaniesz i zwyciężysz! Wiem, że chwili jednej niedasz tryumfu nad sobą tym, którzy go pragną. Ty będziesz mężem, jakiegom marzyła; ja będę niewiastą, jakąś marzył.

Odezwałam się do ciebie pierwszy i ostatni raz w życiu. Odezwałam się, bo mi serce kazało podnieść się i powiedzieć: Wiktorze! jam twoja! Nasze dusze jak dwie gwiazdy w różnych stronach nieba niezejdą się — ale patrzeć będą na siebie, bez końca! bez końca! Wszystko, co szlachetne i wielkie na świecie, niby promień niebieski, niby ptak skrzydlaty będzie zlatało do jednej i drugiej, a wtedy jednako serca nasze bić będą...

Wiktorze! bracie mój! błogosławieństwo wytrwałości i siły niech świeci głowie twojej. Bądź zdrów Wiktorze mój!

Antonina.

W Wiktora oku błysła jędrna, płonąca, rozkoszna i bolesna łza. W uczuciu pełnem życia i natchnienia, które tę łzę wycisło, odrodził się. Stary sługa księstwa patrzył nań z głębokiem współczuciem i rzekł:

— No! to już wrócę do mojej panienki i powiem, com widział. Wiktor spojrzał na sługę... i obaj rozpłakali się. Wiktor rzucił się w objęcia starca.

— Powiedz, powiedz stary! że wszystko dobrze! Podziękuj i ucałuj jej ręce. Wszystko dobrze, powiedz, tu w sercu...

I raz jeszcze uściskał Wiktor starego Szymona.

Poprowadzimy teraz czytelniczki do buduaru panny baronównej. Połączono tam razem wykwintność i nieporządek. Z pod tysiąca pięknych rzeczy wyzierał proch— suknie walały się rozrzucone na krzesłach i po ziemi— na stolikach walały się obok przysmaczków książki, papiery i noty. Z pomiędzy papierów wyzierały liczne i sążniste rachunki rzemieślników.

Od czasu do czasu pojawia się lokaj w wytartej liberyi, anonsując gości niepotrzebnych.

Panna Eulalia paliła cygaro, rozpostarta w miękkim aksamitnym, czerwonym fotelu. Tuż przy niej siedział na taburecie baron, połykając kłęby dymu fajczanego.

— Więc ty, *chère* Eulalie na seryo zakroiłaś na tego smarkacza?

— Cóż robić kochany papo. Przy szanownem jego gospodarstwie pieniężnem, możnaby sobie wytłumaczyć większy nawet mesallians.

— A już to zawsze na ojca gadasz. Ciekawym, kto więcej expensuje, *ma chère.*

— Zapewne — ale papa zapomina, kto w karty grywa.

— Ba! moja kochana, gdyby niekarty, niebyłabyś miała wczoraj sukni na bal.

— Tak, papo — Alež, gdyby nie karty niepotrzebowałabym kokietować Ciepielińskiego.

— Dajmy na to, alež przydam, że i z twojej strony

bywały przyczyny... które ci każą szukać Ciepielińskich.

— Papa przypomina sobie, że wiele nieszczęść domowych z tego płynęło, iż moja matka niebyła Ciepielińską.

— Ale podobniuteńką do ciebie moja Eulalio.

— Z tą różnicą, że ze mną trudniejsza byłaby sprawa, że przy mnie majątek mój rozmarnić by się nie mógł, jak się rozmarnił majątek matki.

— Wielkie nieszczęście, że kochana Eulalia jest tylko moją córką, odrzekł baron drwiąco. Ale ty to naprawisz moja ministeryalna główko, dodał po chwili. Wkrótce będziesz bogatą jak Nabob. Możnaby temu Ciepielińskiemu kupić baroństwo i przydomek: Nabob, albo... albo: pantofel naprzykład.

— Bardzo źle, że papa żartuje z tej ostateczności. Lepiej byłoby pomyśleć o jakim wieczorze w karnawał.

— *Ma chère*, jestem goły jak święty turecki.

— Zapewne! Wczoraj poszła spora sumka. Dobrze więc, ja sama o wszystkiem pomyślę. Ale proszę nie żartować z smutnego wyboru, do którego mnie konduita papy przymusiła.

— A! nieżartuję wcale, *ma chère*, nieżartuję. Wiem, że jesteś aż za nadto emancypowaną, abyś rad ojca słuchać miała.

— Zależy to od tego, jak je podaję — rzuciła Eulalia z przyciskiem. Baron strzepnął cygaro, westchnął i wyszedł. Baronówna siadła do stolika i rozrachowała wydatki. Pokazało się, że reszta pożyczonych pieniędzy wystarczy jeszcze na wysilenie się w wieczór tańcujący.

V.

Kilka ogólnych frazesów — Dalszy ciąg karyery Salezia — Jako ona coraz bardziej świetnieje, a bohater nabiera coraz dystyngwowańszych manier i opinii. — Charakterystyczny bal u księstwa N.

Cóż naturalniejszego na świecie, jak dążenie do wielkości? Jest ono tak naturalnem jak dążenie ciał fizycznych do środka ziemi.

Wszędzie, gdzie się obrócisz, znajdziesz to dążenie. Chłop, mieszczanin, szlachcic i pan zarówno są arystokratami. Bo też to bardzo ładne dążenie, dążenie, aby stanąć wyżej w społeczeństwie. Chodzi tylko o to, aby to dążenie na dobrych, na moralnych oprzeć podstawach.

Z dążenia do wielkości wyszła wszelka władza i rząd ziemi. Ale wielcy i znakomici wszystkich czasów i wieków czuli znać, jak łatwo dążenie do wielkości spaczyć się i znikczemnieć może, kiedy dzieci swoje ubierali we własne wawrzyny i dawali im monopol sławy i znaczenia, odziedziczonego po ojcach. Póki ten monopol obowiązywał *(noblesse oblige)*, póki obowiązuje, niepodobna nań powstawać, jako na poważną tradycyę moralną przeszłości: skoro przestaje wołać do obowiązków a prowadzi tylko do wymagań, ludzkość i opinia publiczna musi go *ad acta* położyć.

Bo też w biegu czasu różne się z tak zwaną arystokracyą na świecie porobiły historye. Jedni starają się utrzymać przy znaczeniu bohatersko-efronckiem staniem przy wsteczności, jeżdżą w złoconych karetach po *Saint Germain*, protestują przeciw wszystkiemu, co się im sprzeciwia, drudzy chodzą w złotych akselbantach i kołnierzach dworów starej daty, a inni jeszcze amalgamują się z bogatą arystokracyą, aby nowych sił po bankach zaczerpnąć. U nas, którzy w tak wyjątkowem jesteśmy położeniu, których los może utrzymać w trzeźwości przed każdym obłędem, u nas mówię z upadkiem kraju utworzyło się także pewne koło arystokratyczne, które wyswobodzone z więzów przysłowiowej równości szlacheckiej, stworzyło sobie byt odpowiedni między princami i comtami Gotajskiego Almanachu. W tem kole ogólnoeuropejskiem nabyło to nasze kółko hrabiów i książąt wiele niepotrzebnych wiadomości, a pozbyło się wiele potrzebnych, tj. o kraju i społeczeństwie polskiem. Ale bo też i trudno niepozbyć się: jeżeli ktoś zagranicą siedzi. Prócz tego zasiał nam ten twór arystokracyi bardzo złe ziarno między polską pszenicą, bo zasiał półpanków.

Są wprawdzie chwile, gdzie powstaje pragnienie po pałacach: aby o tem zapomniano i w czystą uwierzono narodowość. Najchętniej! odpowiada kraj, byle obce przywyczki ustały, a do chęci przewodniczenia przystąpił zbawienny przymiot: znania kraju!!

Salezio był w prostej podróży do półpankowstwa. Bo półpanek rekrutuje się wszędzie, gdzie są pieniądze i głupstwo. Powstawszy z tych dwóch żywiołów otacza on możnych jak szarańcza, zasłania im pogląd na kraj i usposabia do przekonania, że powołani są z Paryża i Drezna do moralnego opanowania społeczeństwa głupców i gapiów!

W krótkim czasie wąchał się Salezio w rutynę salonu, był coraz śmielszy i wygodniejszy. Wiedział już nad czem należy kręcić nosem a co uwielbiać, bo, stojąc blisko, widział z czyjego pieca co wyszło. Otóż Salezio uwielbiał projekta hrabiów N. i O. i P. podziwiał takt hrabiego R., chwalił księdza M. kaznodzieję i spowiednika wielkiego świata; nad wypadkami politycznemi wydawał sąd śmiały i trafny, pamiętając co o nich najbliższe powiedziały świeczniki. Ale gwiazdą prowadzącą była mu baronówna, baronówna, która chciała mieć przyzwoitego Ciepielińskiego. Wdzięczność jego przemieniała się w miłość: Salezio coraz częściej bywał u baronów. Baron prowadził go w wielki świat dalej, uczył, zaprawiał i widząc pojętność chłopca wielkie mu rokował nadzieje.

Ale nie sam Salezio przedstawiał typ tak powszechny półpanka. Obok niego było wielu innych, mniej lub więcej w czarodziejskie koło dobrego tonu uplątanych. Poznać ich łatwo: chodzą i mówią jak panowie, tylko przesadzają we wszystkiem. I bardzo naturalnie! jakże by ich inaczej spostrzedz można!

— *Mon cher*, mówił pewnego poranka baron do Salezia, a nazywał go już monszerem, pojedziemy na wieś, na bal do państwa X.

— To szlachta wiejska ci państwo X.

— Szlachta monszerciu, szlachta! Ty bo widzę już niechcesz słyszeć o szlachcie. Ale ubawimy się dobrze.

Państwo X. prowadzili dom otwarty. Bywali u nich wszyscy, jak gdyby goście podług ewangielicznego przysłowia po wszystkich gościńcach świata zbierali. W tej fluktuacyi nieustannej osób przesuwali się jak w szajnekatrynce panowie i szlachta, urzędnicy i oficerowie. Było to gościnnie, chociaż bywają osoby, dla których szlacheckie domy niegościnnemi być powinny. Ale u państwa X. gościnność nieznała granic, bo pan X. potrzebował towarzystwa. Co było ciekawem, to spotykanie się tak różnorodnych osób na jednem miejscu. W kojarzeniu przeciwieństw nie był bowiem gospodarz szczęśliwym. Gdy książęta i hrabiowie przyjechali, zawadzały mu warstwy niższe; gdy ich niebyło, przestawał na nich. Z demokraty stawał się z łatwością arystokratą i nawzajem. Pan X. miał tylko tyle myśli, ile mu na prędce było potrzeba.

Otóż tam zajechał Ciepieliński z baronem. Był bal: towarzystwo, jak najczęściej, mięszane. Ztąd niepospolita ilość karykatur — a Salezio umiał już zbierać karyka-

tury. Chodził więc po sali i przypatrywał się swobodnie szlachciankom, które się przesadzały w toaletach; kawaleryi wiejskiej, podkręcającej zamaszyście wąsy i spozierającej z upodobaniem na lakiery... On bo już należał wyżej, i rozpowiadał mimochodem nowym znajomym, gdzie bywał i gdzie się bawił.

Śmietanka towarzyska w znacznej ilości zjechała się także. Pan X. przesadzał się w grzecznościach, cóż kiedy wszyscy prawie byli — słabi. Tak jest — słabi — książę K. miał katar, księżna chrypkę, dwóch hrabiów nogi bolały. Jakoż niebawiła długo inwalidowa krema i poszła spać. Wtedy zaczęto się bawic na dobre, przymus zniknął, a gdy huczny drabant posunął po sali, zegar wybił godzinę dziewiątą z rana.

Ale Salezio go niewidział. I on poszedł spać, bo pojął, że to należy do warunków dobrego tonu.

W kilka dni potem był bal u księstwa N. I tam prześladowały ich słabości, przed dwunastą wszyscy spać poszli. Jakie ztąd były konsekwencye dla rozwijających się władz umysłowych Salezia? pokaże następująca rozmowa:

— Jakżeś się bawił? zapytał baron Salezia, siedzącego obok niego w faetonie.

— Dosyć — odrzekł pogardliwie Salezio.

— Jak to, dosyć tylko?

— Zapewne... te śmieszności szlachty były arcywyborne.

— Śmieszności szlachty? parsknął baron gwałtownym śmiechem.

— Tak jest. Bo proszę barona, ile tam karykatur, jaka niedorzeczność umysłowa, jakie sądy dzikie o rzeczach...

— Wybornie, *mon cher*.

— I przekonałem się, że to surowy materyał, który nam będzie trzeba niepomału ociosywać, aby z niego co było.

Baron zgryzł cygaro dla kontenansu. Salezio się zadumał, zadumał głęboko. O! bo on już był statysta na seryo! On umiał już prelegować i gadać frazesy, nie tak dowcipne jak jego modele, ale zawsze frazesy. I Salezio miał już w świecie znaczenie!!

VI.

Renegat i substytut.

Karnawał się kończył, księżniczka Antonina poszła za księcia, jej przeznaczonego. Wiktor był na jej ślubie i weselu, spokojny, uroczysty, swobodny. Ona szła pełna rezygnacyi i religijnego przeniknienia do ślubu. Ksiądz K. powiedział długą oracyą, gdzie się zapalał i pryskał sztucznemi fajerwerki, pękającemi tuż przed książkami do nabożeństwa pań dewotek. Mówił wiele o wzajemnej miłości narzeczonych, o ich przyszłem szczęściu, chwale kraju i t. p. rzeczach.

W kilka dni potem gruchnęła wieść, że baronówna idzie za Ciepielińskiego. Ciepieliński przyjęty wdzięcznością i grzany oczyma panny wyznał mamie swe pragnienie, a mama tacie. Tata się skłonił pod warunkiem, aby klucz obdłużony przeszedł w posiadanie przyszłej synowej. Wiedział on, że jest to może jedyny sposób rewindykowania sum swoich dosyć nisko w hipotece położonych.

Z tą kondycyą niewzruszoną poszedł Salezio oświadczyć się baronównie. Baronówna pracowała długo nad ojcem, który klucza zapisać niechciał. Ale obiecawszy papie złote góry i uspiwszy jego podejrzliwość uzyskała obietnicę.

Tak przyszło do połączonia rodzin Ciepielińskich i baronów. Wnet pokazały się z tego rozmaite konsekwencye.

Baron dostał maleńki apanaż od córki. Wściekał się, przeklinał, przegrał roczną pensyą, a przegrawszy puścił się na pieczeniarza. Nieubłagana panna Eulalia nic o nim wiedzieć niechciała, wyjąwszy dosełania alimentu.

Ciepieliński został baronem, a od sąsiadów dostał przydomek Pantofla. Eulalia wzięła go zupełnie pod pantofel, zakradła się do łask p. Michała i razem robią p enią-dze. Gdy tego potrzeba, pani Eulalia występuje paradnie i wtedy jedynie mąż nieżałuje, że się ożenił z familiantką. Należy on dzisiaj do rzędu tych półpanków, którzy z ślepem posłuszeństwem chodzą w barwach bóstw swoich. I jest znakomitością drugiego rzędu.

Wiktor osiadł na wsi, gospodaruje i pracuje umysłowo. Żyje z szlachtą, podnosi ją i rozbudza. Być może, że się nawet w sąsiednim domu poczciwym ożeni. Z towarzystwem dawnem niema prawie żadnej styczności, chyba, gdy publicznie występuje. Wtedy umie się chronić od namiętności, umie oceniać dobre chęci, a karcić zachciałki. Gdy niedawno zapytano go, czemu go niewidać w dawnych kółkach? rzekł:

— Ach! ja tam niepotrzebny. Wyniosłem się — a zostawiłem substytuta: Ciepielińskiego!

ZAZDROŚĆ.

(Powiastka).

I.

W jednem z najporządniejszych i najwygodniejszych mieszkań nadreńskiego miasta kąpielnego, w wygodnem krześle siedzi poobiednią godzinkę wypoczynku i marzenia czytaniu poświęcająca Polka. Jestto młoda osoba przystojna i interesująca, która niedawno ukochanemu Edwardowi oddała swoją śliczną rączkę. Pan Edward, właściciel obszernych włości, z krakowskiego — rozparty w drugim krześle kłębami dymu zasłania sobie śliczną twarzyczkę swej żony — nie przez to, aby mu już tak prędko zobojętniała; lecz dla tego tylko, aby jej czarne błyszczące, na wskróś przenikające oczy nie wyczytały w jego twarzy wyrazu smutku i zgryzoty, jakiemi dusza jego właśnie mocno była udręczoną. Nawiasem dodamy, iż tak pan Edward jako też pani Wanda byli zupełni zdrowi, i do kąpiel przybyli tylko dla rozrywki, dla mody nawet, bo to wszystko działo się przed 10ciu laty, a przez tych 10 lat wszystko na lepsze się u nas zmieniło i zmienia. Uwierzyliśmy, iż ojczyste źródła skuteczniej nas uleczą, niż zagraniczne, uwierzyliśmy, że pieniędzy trwonić za krajem nie wolno nam pod karą zarzutu bardzo bolesnego dla serca dobrego Polaka, uwierzyliśmy, iż dzisiaj dla nas nie pora rozrywek i uciechy, i dowiedliśmy tego wyraźnie — i wszędzie — nawet tam, gdzie tych prawd najtrudniej było dowodzić.

Ale wróćmy się do państwa Edwardów. Pan Edward pali lulkę — a pani Edwardowa czyta. I cóż czyta? Czyta nowo nadesłane jej z Warszawy poezye pana Filipa Zgadnickiego, młodego, jak gazeta donosi, autora, pełnego talentu i nadziei. Ten pan Zgadnicki jest właśnie przyczyną gęstych kłębów dymu, któremi pan Edward zasłania sobie zachmurzone czoło.

— Ona go zna, myśli sobie ciągle, zna z Warszawy, wychwala tak okropnie i nieznośnie, śmie nawet twierdzić, iż go bardzo lubi — a do kroć — set... Nie — czegoż się gniewam? Czyż mojej żonie nie wolno znać nikogo — nikogo bardzo lubić? Dziwny jestem!

— Ach! jakież to śliczne miejsce, zawołała w tej

chwili pani Edwardowa — ileż to poezyi? — doprawdy ucałowałabym za te wiersze ich autora.

— Do pioruna! zagryzując wargi; mruknął zazdrosny małżonek.

— Cóż ci to Edziu? zapytała się, spostrzegłszy to p. Wanda - a w głosie jej dźwięczała najrozkoszniejsza melodya szczerej miłości i prawdziwego przywiązania.

— Nic, odpowiedział ucinkowo pan Edward — czytaj sobie te twoje *śliczne* poezye.

Wyraz *śliczne* wymówiony był z teatralnym naciskiem i efektującem (nibyto) wybiciem.

Pani Edwardowa powstała, odłożyła, pięknie oprawną i jej cyframi ozdobioną książkę na bok — i z niekłamaną czułością zbliżyła się do męża. — Edziu! Edziu! mówiła doń pieszczotliwie, ty się na mnie gniewasz?

— Nie, moja kochana, nie gniewam się... ale...

— Ale — cóż?

— To namiętne zajęcie się jakimś nieznanym mi autorem, przyznasz, że jest trochę dziecinnem dla ciebie.

— Alež poezye jego takie ładne i jakże go nie kochać. To mówiąc pocałowała męża w czoło. Pan Edward się zerwał — popatrzył milcząco w jej oczy, któremi go śmiało przeszywała, i porwawszy najdroższą sercu swemu istotę, w obie bieluchne rączki całował ją w upokorzeniu na znak przebaczenia.

Lecz tegoż samego wieczora postanowiono niezwłocznie opuścić kąpiele nadreńskie — i na kilka miesięcy jesieni i zimy udać się do Warszawy.

Pani Edwardowa, była bardzo szczęśliwa. Pan Edward układał sobie jakieś plany — Zgadnicki był ich przedmiotem.

Mimo zaś najlepszych uczuć obojga małżonków — te poezye stały się przecież przyczyną już znać się dającej dysharmonii. Zazdrość pana Edwarda zaczęła niepokoić panią Edwardową.

II.

Pewnego poranku pan Edward jak szalony przelatywał po ulicach pełnej życia i ruchu Warszawy. Jego poetyczna wyobraźnia, dotwarzając do pozorów rzeczywistości nieopisane cudy i dziwy, doprowadzała go do szaleństwa. Pan Edward miał duszę bardzo ognistą i poetyczną, pisywał piękne poezye, lecz ich nigdy przed światem nie ogłaszał. Więcej nawet uczuciem, niż rozsądkiem w całem życiu się powodując — był dla tego podejrzliwy, i nieraz wyobraźnią własną i tą podejrzliwością uroił sobie nieszczęście takie, o jakiem w rzeczywistości nie śniło się nikomu. Lecz dziś miał przynajmniej rzeczywiste pozory tej rozpaczy, z jaką przebiegał po ulicach. Żona jego, coraz mocniej zajmując się panem Zgadnickim i nieustannie o nim opowiadając najpochlebniejsze rzeczy, obudziła w nim najwyraźniejszą zazdrość, z którą się już przed nią nie tail, uskarżając się na swoje nieszczęście. Poezye pana Zgadnickiego Filipa doczekały się drugiego wydania, po gazetach chwalono je wszędzie — ale niestety! z niskąd o autorze nikt ani słówka nie wiedział. Wszystkie w tym względzie starania poczynione przez Edwarda były daremnemi, nikt tego nazwiska ani w Warszawie, ani w Krakowie, ani we Lwowie nieznał. To było przyczyną tem większej niespokojności zazdrosnego męża. Dzisiaj zaś — w dniu nieszczęsnym, kiedy pan Edward biega jak szalony po mieście, ogłaszają afisze jakąś nową sztukę przez pana Filipa Zgadnickiego, oryginalnie wierszem napisaną. W Warszawie nowa sztuka sprowadza tłumy słuchaczy do teatru. Wiadomo, jakie tam trudności zachodzą dla autorów i dyrekcyi w tym względzie. — Ten więc, którego nazwiska pan Edward wymówić nie może bez wściekłości, będzie podziwiany i uwielbiany może od tysiąca widzów — każdy poklask, każde brawo oddane sztuce — będzie go kłuło sztyletem w serce — a żona! — żona — od miesiąca cieszy się tą nowiną — gdy Gazety o tej sztuce doniosły nie posiadała się z radości — a gdy dzień jej przedstawienia nadszedł młody a niespokojny Edward, wytrzymać już nie mógł w domu — tak go paliła zazdrość szczęściem nie dobrej, jak mniemał, żony podsycana. Wybiegł więc, a kogokolwiek spotkał, zaklinał na wszystko, aby będąc dziś w teatrze, nie objawiał swego zadowolenia ze sztuki, której autora nazywał swoim największym nieprzyjacielem. Łatwo mu to poszło z wieloma. Kilkanaście butelek Szampana zjednało mu dość silne stronnictwo, którego członkowie podjęli się nie tylko być obojętnemi dla pana Zgadnickiego, ale nawet wygwizdać jego sztukę. Prócz tego kilkanaście biletów, rozdanych *gratis*, w innem znów kółku było po stronie nieszczęśliwego małżonka. Przygotowawszy się więc, niby choć po części, na dzisiejszy wieczór, powrócił pan Edward do domu dość późno po obiedzie — i zastał żonę ubierającą się już do teatru.

III.

W teatrze pełno widzów. Tłumy ciekawych oczekują niecierpliwie podniesienia się zasłony. Serce biednego małżonka bije trwogą, złością i nienawiścią. Rozpromienionego oblicza swej żony znieść nie może — jak nie może znieść jej nadzwyczajnego humoru, w jakim jej nigdy nie widział. W loży, w której siedzieli państwo Edwardowie, była jeszcze jej ciotka, uśmiechająca się tajemniczo do rozpaczającego zazdrośnika. Pani Edwardowa przyniosła nawet z sobą wieniec — który podczas orkiestry mężowi pokazała, a który przeznaczony był dla poety i autora dzisiejszej sztuki. Pan Edward nie mógł już wytrzymać dłużej — wybuchnął gniewem — i chciał wyjść nawet z loży.

— Ależ najdroższy Edziu, chwilkę jednę zaczekaj — a przekonasz się...

— Że mię zdradzasz, zakrzyknął mąż — a w tem odsłonięto kurtynę — i pan Edward zwrócił się — nie wyszedł, i słuchał nowej sztuki.

Słucha jednę i drugą scenę — dziwnego jakiegoś doznaje uczucia. Nie byłato zazdrość— nie złość, nie gniew... ale coś, czego nigdy ani wtedy ani potem nie mógł sam sobie wytłomaczyć. Serce jego drgało takiem uczuciem, jakiego chyba wtedy doznawał, gdy się od swej dobrej żony dowiedział o jej wzajemności — oczy pałały ogniem szczęścia twarz zmieniała co chwilę wyraz podziwu i oczarowania.

Pan Edward słyszał swoje własne wiersze. Sztuka, lubo jej tytuł mu nieznany, była jego pióra — napisał ją właśnie wtedy, gdy się najbardziej kochał — więc z uczuciem.

Przekonawszy się o tem — nie miał odwagi spojrzeć w oczy swej żonie — lecz ta uprzedziła go we wszystkiem — i trzymając wieniec w ręku, odezwała się po pierwszym akcie w te słowa: niechże mi wolno będzie przed końcem sztuki, którą i ja — i ty znasz dobrze — uwieńczyć jej autora. Autor poezyi — i dzisiejszej komedyi, może już nie będzie się gniewał na mnie A pan Edward o mało nie ukląkł przed swą żoną — a wtem dały się słyszeć świsty i gwizdanie... wiernego mu stronnictwa...

— Co to jest? zapytała się pani Edwardowa z przestrachem.

— To moje grzechy — za które błagam cię o prze-

baczenie! zawołał szczęśliwy i już niezazdrosny małżonek, całując śliczne rączki swej Pani.

I koniec. Sztuka, pomimo przekupionego stronnictwa powiodła się dobrze. Pan Edward przekonał się, że sam był panem Zgadnickim, przeciw któremu tak wściekle był zawziętym — niepokój jednak i przykry stan zazdrości w jakim się kilka miesięcy znajdował, wyleczyły go na zawsze z tej choroby, która często wielu nieszczęść bywa przyczyną.

O sztuce napisano krytykę dobrą — nie przemilczano jednakże świstań i psykań, które policzono na karb nie znających się na sztuce widzów. Pan Edward przyjął ten ustęp, w pochwałcach dla siebie, za karę swej podejrzliwości.

⊙

Listy księdza Wojciecha z M.....

(Zob. Nr 6 i 10).

III.

Szczyt rozumu Matki-Polki leży w tem, aby sama była prawdziwą Polką, i dzieci tak wychowała swoje i obce, jak tylko może! Gdy syn staje się głośnym cnotami w kraju, gdy córka ma sławę piękną między dziarską młodzieżą polską, wtedy przed rozumem kobiety matki schylamy czoło! Gdy jako matrona potrafi olśnić towarzystwo dowcipem, rozumem, zdrowemi radami i utrzymać zawsze ton wyższy, godny każdej zacnej Polki, wtedy i przed takim rozumem kobiecym schylamy czoło. Gdy matka potrafi utrzymać sławę rodu tradycyonalną, i nowemi cnotami przyozdabia rodzinę, podnosi dom w opinii prawdziwej, i kieruje żywot swój, jak i żywot dzieci tak, aby żaden cień nieczysty nie padał na dom, — i wtedy schylamy czoło przed rozumem kobiecym! Gdy kobieta pisze, jak to pisywała zacna śp. z Tańskich Klementyna Hoffmannowa; gdy pisząc nie chwyta za berło rozumu, ale pilnuje serca kobiecego i ztąd wynosi skarby utajone dla drugich matek i dzieci—i wtedy uwielbiamy rozum kobiecy! Gdy Matka-Polka siedzi na wsi w owym dworze, który pamięta tyle wesela i tyle łez, w którym wykołysało się jej plemię, od którego o kilka kroków spoczywają na cmętarzu kości i święte prochy dziadów, koło którego szumią stare rosochate lipy, rozłożyste dęby, gromadne klony, a które tyle rzeczy przeżyły, tyle wspomnień rodzinnych tego dworu z wiatrem poniosły, które się tak do dworu przywiązały, że na wiosnę zielenią zdobią dach jego, w lecie piastują bocianie gniazda, a pod jesień zaścielają go pożółkłym liściem i suchemi gałązkami; gdy Polki polubią te dwory oniemiałe, i ożywią te domy nowem życiem, nowemi cnotami i złączą wieś z dworem w jedno ciało, że dwór będzie głową, kościoł sercem, a wieś resztą ciała,— o! taki rozum w księdze dziejowej podpiszą potomkowie, a my za to pod niebiosa wyniesiemy podobne Polki. Gdy Polki poskromią się w zbytkach, a grosz oszczędzony obrócą na szpitale wiejskie, na szkółki parafialne, na książki ludowe, na okrycie sierot, na podniesienie moralne ludu wiejskiego, za taki rozum nie od nas będzie im chwała, ale od samego Boga,—nie doczesna nagroda; ale wieczna! W tych tylko rzeczach i im podobnych, rozum kobiecy jest wielki; a najwyższy rozum spoczywa w świętej wierze, która uczy upadać na kolana, modlić się gorąco i ofiarować Bogu cierpienia i pragnienia swoje! Nie masz dla kobiety większego moralnego poniżenia, jak brak żywej i dzielnej wiary, brak religii. Kobieta bez religii to kwiatek zeschły bez woni, który nie żyje już, a wnet odpadnie od łodygi i pójdzie w błoto pod nogi na podeptanie! Za mało powiedziałem! Kobieta bez religii, to potwór *). Religia święta jest więcej rzeczą serca niż głowy! U kobiety serce przemaga! obnażyć to serce z religii, tej niebieskiej i wiecznej krynicy, cóż się na dnie zostanie? Pomyśleć sobie kobietę bez religii, to tyle, co odmówić jej przeznaczenia najwznioślejszego na ziemi śród rodzaju ludzkiego; to tyle, co obedrzeć ją z uroku anielskiego i rzucić ją na stopień prawie bydlęcy, nieprzyznać jej znaczenia, jakie się człowiekowi należy jako panu i królowi ziemi, królowi nieśmiertelnemu!

Kto zwiedzał kiedy kopalnie soli w Wieliczce, tego zaprowadzono pewnie do owej wielkiej podziemnej solnej pieczary, której sklepienie naturalne i w ciemni okiem niedojrzane, a ściany czarne i nagie stoją chropowate. Co mu się działo w duszy, gdy tam pierwszy raz stanął i okiem zmierzył tę próżnię, i usłyszał jakiś szmer podziemny? Gdyby miał człowiek wzrok taki, aby mógł zajrzyć do wnętrza serca, w którem nie ma religii światła i ciepła, podobny widok przejąłby go stokroć większą zgrozą, niż owej pieczary próżnia! Wulkan wypalony napełnia przerażliwem uczuciem zaglądającego przez krater do jego głębi: podobnem do owego wulkanu jest serce bez religii! Wulkan, we wnętrzu swojem kipiący, przestrasza każdego, kto się doń zbliża; podobnie odstrasza od siebie to serce, w którem kipią potęgi przyrodne, tajemnicze i nieskreślone, a nie ma na nich hamulca, ani prawa, ani granicy! Jeżeli mężczyzna bez religii jest niczem, to czemże jest kobieta? Cała potęga moralna kobiety spoczywa w jej tajemniczem sercu; cóż będzie z tej potęgi, gdy jej nie przewodniczy światło i ciepło nadziemskie religii? Alež nie myślcie szanowne Panie! że religia, to tyle, co obrzęd jaki kościelny, albo godzinne nabożeństwo — Religii nie widać u nikogo ani w twarzy, ani w oku, ani w ustach! ona ukryta i zamknięta w sercu, daje mu tyle siły, że kobieta religijna wypełnia, co wzniosłe, szczytne, święte, boskie działa, czy kto widzi lub nie – czy jest tu nagroda lub nie — czy za to spływa różowy szczęścia, czy też cierniowy cierpień wieniec; czy za to czeka miłość ziemska, czy też prześladowanie. Religią żyły wasze prababki! Owa Dąbrówka, Jadwiga szląska i polska, Jolanta, Salomea, Kunegunda, owa żona Kazimierza Jagiellończyka, która wykarmiła czterech królów, jednego świętego, i tak zacne: owa matka Korybutka, która cnotami tylko wyjednała koronę synowi zubożałemu, owe córy Jagiellonki, które tak zacnych dały Polsce królów — owa matka bohatyra Jana, który na grobie Żółkiewskich słowem matki zmężniał, i już wtedy był w duszy bohatyrem — i owe kobiety pobożne, które będąc matkami, pilnowały kolebki i z zacisza domowego wydawały bohatyrów i cnotliwych na świat, niejednej między wami bliskich krwią.

---

*) Nie mamy powodów przepowiadać i mężczyźnie bez religii wiele wewnętrznego szczęścia. R.

Sprostowanie: Nr. 8, str. 5, wiersz 4, zamiast: zróżowało, czytaj: zróżowiło; w. 29, z. *mentore* c. *mentone*; w. 50 z. kosy c. dłonie. Str. 6, w. 7, z. *Romalini* c. *Ramalini*; w. 46 z. używając się, c. ożywiając się. Nr. 10, str. 6, w. 24, z. skrzepiona, c. wskrzepiona; w 27; z. *brocecio* c. *broecio*; str. 7, w. 2, z. tu, c. ten; w. 62, z. walna, c. wolna; w. 67 z. dni, c. chwil. Str. 8, w. 10, z. *mentore*, c *mentone*; w. 11, z. palonem, c. galonem; w. 32, z. trwonić, c. krwawić.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk., **Antoni Rother.**